

Wesołych świąt [TCB]

Autor: Sun

Odpalona na pełen regulator farelka podniosła temperaturę w starym, ponemieckim bunkrze do sensownego poziomu, ale nie na tyle, by czwórka siedzących w środku ludzi zrzuciła ciepłe swetry. Tylko jeden kuc nie miał na sobie nic. No ale to zrozumiałe, miał przecież futro.

Był tam jeszcze jeden szczegół, który zmieniał nieco atmosferę i odróżniał ten dzień od innych. Pod ścianą stało kilka mauzerów ustawionych lufami do góry, w coś na kształt stożka. Na jego czubek nałożono [granat przeciwpancerny](#), a całość owinięto pasem amunicyjnym do niemieckiego MG. Pod spodem spoczywało pięć różnego rozmiaru prezentów.

– No, panowie, – zaczął Stefan ścisząc radio – jeszcze raz gratuluję wczorajszej akcji. Ulepiliście pięknego bałwana pod drzwiami biura adaptacyjnego. Przez dobrych kilka godzin nie mogli wyjść.

Oj tam, oj tam. – machnął ręką Franek. – Śniegu dużo i dobrze się lepi, to trzeba go było wykorzystać.

– Zastanawiam się tylko, czemu nie wyszli oknem? – dodał Krzysiek.

– Bo Stefan zaspawał im kraty na parterze, zeszłej nocy – przypomniał mu siedzący pod drzwiami Kłapouch. – I słusznie. Nie mogli mieć za łatwo.

– Prawda. Ale w końcu wyszli.

– I nadziali się na waszą małą pułapkę. To było piękne – pogratulował im Jurek.

– Aj, jaką naszą. Stefan wszystko wymyślił, ja tylko lepiłem. – Krzysiek podrapał się za głową.

– Grunt, że wszystko znowu poszło jak w zegarku. Olsen mógłby się od nas uczyć.

– Muszę to w końcu obejrzeć – mruknął jednorozec.

– A teraz pora na najważniejsze. – Stefan zrobił teatralną pauzę, choć wszyscy i tak wiedzieli, co zaraz nastąpi. Wszak ich wigilijna kolacja już dawno zaczęła się trawić, kolędy zostały zaśpiewane, a życzenia złożone. – Pora na prezenty. – rozległy się okrzyki radości. – Jacyś chętni do nurkowania pod choinką? – wskazał na ich wysoce pokojowe drzewko. – Może kłapouch?

– A może nie? – odparł kuc.

– Nie, to nie. Krzysiek, nurkuj.

– Ech, zawsze ja – westchnął, choć wcale mu to nie przeszkadzało. W końcu prezenty.

– Nie marudź, najmłodszy jesteś – rzucił Jurek, co nie do końca było prawdą. Wszyscy czterej byli w tym samym wieku, tyle że on miał urodziny najpóźniej, bo pod koniec listopada. Tylko jeden kłapouch nie zdradził, ile ma lat i kiedy ma urodziny, choć nie raz pytali. Zawsze wtedy odpowiadał, że przy jakiejś okazji opowie to i owo o sobie. Okazja jak na razie nie nadeszła.

Krzysiek schylił się i ostrożnie wyciągnął najmniejszą paczkę spod ciężkiej konstrukcji. Uważnie obejrzał papier, szukając napisu, dla kogo to. W końcu znalazł i rzucił Kłapouchowi, życząc mu wesołych świąt. Ogier zręcznie złapał ją w locie i natychmiast wziął się za rozpakowywanie.

Kolejna, tym razem płaska paczka, trafiła w ręce snajpera, Jurka. Trzecią, dość sporą dostał Franek, czwarta powędrowała na bok, bo była dla Krzyska, a wysoka torba trafiła w ręce Stefana.

Już po chwili wszyscy uporali się z papierami, które zgodnie wrzucili do pustej już torby Stefana i zajęli się oglądaniem prezentów. Kłapouch dostał dobry, sportowy zegarek, który natychmiast zapiął na lewym kopycie. Cyferblat mógłby być co prawda większy, ale i tak był to wspaniały prezent. W ręce Jurka wpadł najnowszy Wiedźmin oraz Ghost Warrior. Zawsze lubił komputery i gry, a te dwie perełki zasilą jego kolekcję i pozwolą się odstresować przez święta i nie tylko. Stefan w swej torbie miał parę dobrych, wojskowych butów. Jego stare wciąż były całe, ale ich czas się zbliżał i to szybko. Franek dostał w swoje ręce equestriańskie podręczniki do magii. Prezent ewidentnie od Kłapoucha, ale na pewno trafiony. Ogier wiedział jak Franek interesuje się magią, więc sprawił mu porządne podręczniki do teorii, napisane podobno prostym językiem. Krzysiek zaś nie mógł oderwać wzroku od kartonowego pudła zawierającego model Archera w skali 1:35. Kolejny pojazd, który po złożeniu zasili jego powiększającą się kolekcję.

Gdy tylko nacieszyli się prezentami, nadeszła pora, by się rozejść. Zanim jednak to nastąpiło, Franek wzniosł toast.

– Zanim się rozejdziemy na święta, chciałbym życzyć wam wszystkiego najlepszego, wesołych świąt, szczęśliwego Nowego Roku i oby ta biała rura wyłysiała jeszcze przed sylwestrem. – Wzniosły się okrzyki radości. – I oby nowy rok był dla nas równie owocny co ten.

Cała piątka wzniosła szklanki z piwem i wypila to, co im jeszcze zostało. Posiedzieli jeszcze chwilę, dośpiewali [equestriańska koledę](#), po czym zabrali swoje prezenty, wsadzili szklanki do kieszeni kurtek i zaczęli rozchodzić się do domów. Ich kolejne spotkanie miało się odbyć dopiero po Nowym Roku.

– Wyjeżdżasz gdzieś na święta? – spytał Krzysiek, gdy razem z ogierem znaleźli się we wspólnie wynajmowanym mieszkaniu. Było małe, dwupokojowe, ze ślepą kuchnią, ale grunt, że tanie i właścicielka z tych co nie zadają pytań i nie grzebie po szafach. Sąsiedzi też raczej normalni. Kilku studentów, jakieś stare babcie, ale nie z tych z kółka różańcowego. No i właścicielka mieszkająca na parterze. Było jeszcze jedno puste mieszkanie, ale nikt jakoś się nie kwapił. Może jak się Nowy Rok zacznie, pojawią się jacyś studenci.

– Rano przebijam się przez portal i może odwiedzę rodzinę, albo znajomych – odparł wymijająco kłapouch.

– Nigdy nie opowiadałeś o swojej rodzinie – pociągnął temat, odkładając model na półkę w swoim pokoju. Mimo ciasnoty zorganizował sobie miejsce i na dłubanie, i na stawianie gotowych, i na spanie.

– Bo nie ma o czym – odparł kuc. – Zwykła rodzina; mama tata i ja.

– Nie masz rodzeństwa?

– Nie. Jestem jedynakiem – potwierdził. – Ale to lepiej. Świat nie zniosłby dwóch takich jak ja.

– Pieprzysz kłapouch. Brat to fajna sprawa. Jest się z kim powyglupiać.

– Co kto lubi. Ja tam się cieszę, że jestem sam.

– Pewnie się przyzwyczaiłeś – mruknął, przechodząc do kuchni. Jedyne co mu się jeszcze marzyło przed wskoczeniem do wyrka, to solidna herbata z malinami. – No ale opowiedz o swoich rodzicach. Gdzie mieszkają, czym się zajmują? No wiesz.

– A czy to ważne?

– Kłapouch, słuchaj. Jesteś z nami od ponad pół roku a mimo to niewiele o tobie wiemy. Każde pytanie o przeszłość, dzieciństwo czy rodzinę zbywasz milczeniem albo zmieniasz temat. Ewidentnie coś ukrywasz. Czyżbyś zwyczajnie nam nie ufał? – naciskał chłopak.

– To nie tak, że wam nie ufam – zaczął, szukając słów. Chciał, by zwyczajnie przestali pytać, ale bez jakiegoś zwykłego: „Spieprzaj dziadu”. – Po prostu moje życie jest nudne, nawet z perspektywy kuca, a co dopiero człowieka. Naprawdę nie mam o czym opowiadać.

– Przestań pieprzyć głupoty – powiedział, stawiając przed nim wielki kubek rozgrzewającej herbaty z malinami i spirytusem. – Nie uwierzę, że nie masz żadnych wspomnień, którymi mógłbyś się podzielić. Wyglupy w szkole, ukochana ciotka, dziewczyna, cokolwiek. Nawet nie chciałeś mówić, ile masz lat i kiedy się urodziłeś.

– A czy to ważne – westchnął, upijając łyk herbaty.

– Tak, kłapouch, ważne. Tworzymy oddział nie tylko dlatego, że potrafimy ze sobą współpracować. Dobrze się znamy i możemy na sobie polegać w każdej sytuacji. Nie mówię, że masz nam zaraz streścić całe swoje życie, ale mógłbyś chociaż odpowiadać na te podstawowe pytania i uzewnętrzniać się od czasu do czasu.

– Ech, no dobra – machnął kopytem zrezygnowany. Nie lubił mówić o sobie, ale jak widać, niekiedy musiał. – Mam dwadzieścia siedem lat i urodziny siedemnastego czerwca.

– Czekaj, to wtedy chyba do nas dołączyłeś.

– Tak, dokładnie wtedy.

– Całkiem fajnie – pochwalił przypadek. – Opowiadaj dalej.

– Eeee, muszę? – spytał zrezygnowany. – Nie umiem mówić o sobie. Czuję się wtedy dziwnie. Nigdy wcześniej tego nie robiłem.

– Nie pierdziel. Nigdy nie gadałeś z kolegą, przyjacielem o sobie? Nie chwaliłeś się niczym? – Mało nie zakrztusił się herbatą ze zdziwienia.

– Nie – odparł, jakby to było całkiem normalne. – Wolałem słuchać innych. Nie byłem też specjalnie towarzyski.

– To trochę jak ja kiedyś – przyznał Krzysiek zmieniając nieco taktykę. I tak już sporo się dowiedział jak na Kłapoucha. – Przez całą podstawówkę wolałem siedzieć w kącie z nosem w książce, niż gadać z kimkolwiek. Nie ułatwiło mi to życia, ale też specjalnie nie utrudniło. Miałem w nich wyrąbane, zanurzając się w książkach. W gimnazjum się to poprawiło o tyle, że znalazłem podobną grupkę introwertyków i razem siedzieliśmy w bibliotece. O dziwo wtedy się zacząłem otwierać i oni

też. Po prostu potrzebowaliśmy kogoś podobnego nam. No a dalej technikum, warsztat i jakoś leci. U ciebie pewnie było podobnie?

– Mniej więcej – odparł ogier, upijając długi łyk herbaty.

Nastała cisza, którą Krzysiek bezskutecznie próbował przerwać. Wszelkie jego pytania nagradzały krótkie, monosylabowe burknięcia i siorbanie herbaty ze spirytusem. Mimo to był zadowolony. Wyciągnął chociaż kilka informacji od Kłapoucha i to bez specjalnego wysiłku. Może w końcu dowiedzą się kim on w sumie jest, co robił po drugiej stronie portalu i czemu aż tak bardzo nienawidzi konwertytów.

Był dwudziesty czwarty grudnia, godzina siódma rano. Odziany w grubą kurtkę Franek stał na stacji kolejowej i starał się nie rzucać kurwami na ukochane PKP. Wszak jego pociąg miał bagatela pół godziny opóźnienia, Co to jest przy wiadomościach o pociągach spóźnionych dziesięć godzin, na dystansie trzech kilometrów. Może znowu zima zaskoczyła kolejarzy albo pociągi im zamarzły?

Chłopak rozejrzał się po peronie, zmieniając rękę trzymającą walizkę. Wokół kręciło się kilka rannych ptaszków, które również czekały na nieszczęsny transport. Wszyscy oczywiście ogaceni, owinięci szalikami, w grubych, puchowych kurtkach. Wszyscy poza jedną plastikową blondynką w różowej kurteczce do pół tyłka, mini i kozaczkach. Aż dziwne, że ten plastik nie skruszał na mrozie. Może to zasługa jej pozbawionego szyi misiaczka, który ogrzewał ją własnym ciałem.

Franek nie miał czasu się zastanawiać, bo właśnie przyjechał oczekiwany pociąg. Jak można było się spodziewać po biletach TLK Biedatrans, przyjechał stary skład z tymi paskudnymi wagonami, w których nigdy nie działało ogrzewanie. Nie inaczej miało być i tym razem.

Wszedł do wyznaczonego przedziału i natychmiast ulokował walizkę na zardzewiałej półce. Ledwo zdążył, zanim do przedziału wpadła wspomniana blondynka ze swoją górą mięsa, jakaś starowinka w długim płaszczu do ziemi, bereciku z antenką i drewnianą laską w ręce oraz brodaty jegomość w garniturze i mycce. Nawet bez niej dało się zauważyć, że to Żyd. Oczywiście wybrał on miejsce naprzeciw babuleńki, która skwitowała to niedyskretnym znakiem krzyża.

Pociąg ruszył z przeraźliwym zgrzytem. Wszyscy w przedziale odetchnęli, po czym zaczęli prezentować swoje normalne zachowania. Barbie zaczęła obejmować swojego misiaczka i szeptać mu do ucha, jak bardzo go lofcia. On jednak nic sobie z tego nie robił, zajęty swoim smartfonem. Babcia poprawiła beret, po czym wyciągnęła z płaszcza *Nasz Dziennik* i rozłożyła sobie na kolanach. Siedzący naprzeciw jegomość nie pozostał jej dłużny i sięgnął do skórzanej torby po świeże wydanie *Gazety Wyborczej*.

Franek musiał się naprawdę wysilić by nie parsknąć śmiechem na widok miny staruszki. Żeby jednak dłużej nie kusić losu, wyjął z niewielkiego chlebaka termos z herbatą i nalał sobie na rozgrzewkę. Czarna, parująca i gorzka. Dokładnie taka, jakiej potrzebował w tej chwili.

Nie poprawiło to dziwnej atmosfery w pociągu. Żyd dalej ostentacyjnie czytał wyborczą, babcia zajmowała się dziennikiem, obracając w palcach mały różaniec, a myślący kawałek plastiku dalej lofcił mięśniaka.

Po chwili z głośnika dobiegł cichy, charakterystyczny dla PKP komunikat:

Witamy w pociągu krzchrzszchsz, relacji Elbląg krzchrzszchsz. Właśnie zbliżamy się do stacji krzchrzszchszrzhchsz górny. Pasażerowie wysiadający krzchrzszchsz o zabranie swoich bagaży. Mamy nadzieję, że krzchrzszchsz przebiegła krzchrzszchsz. Życzymy miłego krzchrzszchszrzhchszchsz.

Kochane PKP i jego głośniki.

Franek nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Wsadził słuchawki do uszu i odpalił radio w telefonie. Za niedługo miały się zacząć poranne wiadomości. Może poprawne politycznie, lewackie media powiedzą coś o kolejnym ataku tych terrorystów z FOL-u. To było dość ciekawe. Bo gdy w mediach padał temat FOL-u, poprawność polityczna robiła sobie przerwę na papierosa. Nie było problemów z pokazaniem nagrań z ataku, zwłaszcza tych najgorszych. Dziennikarze nie unikali mówienia kto, co i dlaczego zrobił. Brzmiałoby to naprawdę profesjonalnie i rzetelnie, gdyby połowa z tego nie była wierutną bzdurą. No ale czego spodziewać się po mediach.

W czasie gdy Franek usiłował się nie śmiać w najbardziej groteskowym przedziale, Stefan dojadł wczesne śniadanie. Za chwilę miał wyjść, pojechać na drugi koniec miasta do brata, a po drodze kupić jakieś fajne prezenty dla jego dwóch pięcioletnich córeczek. Miał im zamówić chińskie pluszaki, ale w mediach jest nagonka na trujące, chińskie zabawki i eksport do unii stał się niemożliwy. Zwłaszcza przez prywaciarzy. Pewnie skończy na kupieniu im jakiejś planszówki albo czegoś, co mu doradzą w sklepie.

Dojadł resztę wielkiego omletu z kielbasą, chilli i siedemdziesięcioprocentową [sriracha](#). Następnie umył talerz i odłożył na suszarkę. Wsadził portfel i telefon w kieszeń, po czym wyszedł, zamykając za sobą mieszkanie.

Na ulicach nie było zbyt wiele śniegu. Tylko świeża, cieniutka warstwa zalegająca na dachach. Mróz też za bardzo nie dawał się we znaki. Ot zwykłe, polskie święta. Oczywiście nie zabrakło też ludzi, którzy jak zwykle biegali od sklepu do sklepu, załatwiając to, czego zapomnieli kupić. Jego też czekała wizyta w najgorszym miejscu, w jakim można się dziś było pojawić; sklepie z zabawkami w galerii.

Stefan wepchnął się w najbliższy autobus do centrum. Mało przy tym nie zdeptał jakiejś starszej klaczy, która w zamian obrzuciła go wiązanką o niewychowanej młodzieży. Gdyby jeszcze dać jej długi płaszcz i berecik z antenką niczym nie różniłaby się od człowieka.

Stary Jelez ruszył, dygocząc jak paralityk podczas ataku i powlókł się do centrum. Gdyby było więcej miejsca, pasażerowie pewnie lataliby na każdym zakręcie. Tym razem były święta i gęstość upakowania w autobusie przekraczała wszelkie dopuszczalne normy.

Gdy Stefan przeklinał komunikację miejską, a Franek dalekobieżną, Krzysiek próbował zrozumieć, jakim cudem PKS-y jeszcze nie upadły. Ich tabor pamiętał jeszcze pierwszą pielgrzymkę Jana Pawła do Polski.

Na całe szczęście chłopak nie musiał wsiadać do starego, odrapanego, białego PKS-a. Na niego czekała nowoczesna, klimatyzowana, czerwona limuzyna Polskiego Busa. Z działającym WiFi, wychodkiem i miękkimi siedzeniami. Jechać, nie umierać. A za cztery godziny znajdzie się u kuzyna w Warszawie i razem spędzą prawdopodobnie miłe święta. No chyba że tamten znów coś odwali. Zawsze wyskakiwał z czymś niecodziennym, nikomu o tym nie mówiąc. Niestety miał największe mieszkanie i wszystkie Wigilie były u niego.

Krzysiek wszedł do środka, okazując bilet i zajął miejsce z tyłu w kącie. Liczył, że nikt się do niego nie przysiadzie, ale się pomylił. Miejsce obok zajęła błękitna klacz jednorożca o elektrycznej grzywie z białym paskiem. Było to o tyle dziwne, że kucyki nie zwykły jeździć busami. Zazwyczaj wybierały pociągi, gdzie mogły w miarę wygodnie ułożyć się na kanapie i nikomu nie przeszkadzać.

Na całe szczęście klacz wyjęła z torby jakieś książki i zagłębiła się w lekturze. Krzysiek zerknął ukradkiem na strony i oniemiał. Trzymała w kopytach *Zemstę* Fredry. Nigdy nie sądził, że może coś takiego zobaczyć. No chyba że była konwertytką, co tłumaczyłoby jej obecność tutaj.

Z drugiej strony, nie wyglądała na konwertytę. Oni z reguły mają nieco bardziej zszarzałą sierść, jakby wyblakłą, a ich ruchy są nieco mniej naturalne. Większość ludzi tego nie zauważała, ale młody FOLowiec umiał wychwytywać takie szczegóły. Jeśli nadarzała się okazja, nie powstrzymywali się przed dokopaniem takiemu. Trzeba było wziąć zakładnika? Oczywiście konwertyta. Przywiązać kogoś do latarni na środku ronda? Konwertyta. Niech mają za gatunkową zdradę.

Krzysiek postanowił jej nie przeszkadzać. Zamiast tego wyjął z torby swoją nieco grubszą książkę i zagłębił się w lekturze, ukradkiem obserwując klacz. Jej obecność tu była wyjątkowo nie na miejscu.

Stefan wysiadł w centrum i udał się do wielkiej galerii. Wewnątrz kręciły się całe tłumy ludzi i kucyków. Wszyscy biegali obładowani siatami, starając się jak najszybciej zdobyć wszystko to, o czym zapomnieli albo dorwać jakiś fant na wyprzedaży, za dwukrotność jego ceny. Całości horroru dopełniała kakofonia kolęd lecących w każdym sklepie. Wśród nich Stefan dosłyszał [jedyną](#), która budziła w nim dobre wspomnienia.

Nie miał jednak czasu na stanie na środku galerii i słuchanie. Wolał jak najszybciej kupić bratanicom coś fajnego i zwiewać do brata na obiad. Tam przynajmniej będzie spokój, cisza i herbata.

Ruszył więc do niewielkiej sieciówki z zabawkami. Gładko przebił się przez tłum, zupełnie jakby tłum rozstępował się przed nim, niczym morze przed Mojżeszem. Po chwili dotarł do swojego celu. Lecz zamiast głośnego, zatłoczonego marketu z dziećmi biegającymi między półkami, zobaczył zwykły, prawie pusty sklep. Raptem kilka osób kręciło się niemrawo między stoiskami. Czyżby święta tu nie dotarły? Nie, to nie to. Po prostu dziś większość ludzi kupowała dzieciom prezenty w sklepie z elektroniką. Biedne dzieci.

Stefan nie miał zamiaru rozmyślać nad tym. Nie miał też zamiaru psuć bratu dzieci. Dlatego zamiast jakiegoś bezużytecznego gadżetu, postanowił dać im coś do zabawy. Pozostało tylko znaleźć coś odpowiedniego.

– Mogę w czymś pomóc? – usłyszał za plecami. Energicznie się odwrócił, mało nie wpadając na brązową klacz ziemską z blond warkoczem. Na całe szczęście odskoczyła.

– Przepraszam – powiedział i uśmiechnął się do niej.

– Nic się nie stało – odwzajemniła uśmiech.

– Szukam prezentów dla bratanic – przeszedł do rzeczy. – Bliźniaczki, pięć lat – dodał.

– Coś się na pewno znajdzie – powiedziała, nie przestając się uśmiechać. – Nie chwaląc się, powiem, że jestem specjalistką od dzieci. Nie ważne czy żrebak, czy dzieciak, zawsze potrafię się takim zająć. Zaraz na pewno coś znajdę.

Ruszyła szybko między regałami, prowadząc go do działu z grami planszowymi.

– Oto klasyk, nad klasyki w nowej odsłonie – wskazała kolorowe pudełko. – Skaczące czapki.

– Już mają – odparł.

– No to może Monopoly junior. W sam raz dla młodszych.

– A potem usłyszę od brata, że jego córki zostały kapitalistkami – zażartował. – A może puzzle – Zawsze lubił Puzzle. W swoim mieszkaniu miał na ścianie dwa wielkie pejzaże po trzy tysiące kawałków i dwa arty z wiedźmina po tysiąc pięćset.

– Świetny pomysł! – zakrzyknęła z entuzjazmem. – Sama też uwielbiałam puzzle. – natychmiast pognęła do odpowiedniej alejki, pociągając Stefana za sobą.

Trzeba przyznać, sklep miał bardzo bogaty asortyment. Od księżniczek Disneya, przez jakieś roboty, do malowniczych pejzaży i zdjęć budynków. Ilość elementów i rozmiarów też była olbrzymia. Stefan oglądał każde pudełko, lecz nie mógł znaleźć nic, co by mu odpowiadało. Nie da przecież dziewczynkom czegoś o kilku tysiącach kawałków, a z kolei obrazki z kreskówek wyglądały kiczowato.

– Nie, to też nie – stwierdził, przy kolejnej już układance, którą zaproponowała.

– No to może coś z tego – wskazała na inny regał. Marudzenie Stefana, jak widać, nie robiło na niej wrażenia. – To nasz najnowszy towar, prosto z Equestrii. Pejzaże z naszego świata.

Stefan przyjrzał się kolorowemu obrazkowi na opakowaniu. Był to sad i jakaś farma, widziane nieco z góry, a pod jednym z drzew siedziało kilka kucy, jakby patrząc na chmury. Oczywiście całość kolorowa jak dziecięcy rysunek, ale przecież dokładnie takie były kuce, dlatego więc ich świat miałyby wyglądać inaczej? Wziął do ręki kolejne opakowanie. Tym razem był to chyba pałac, stojący w centrum miasta, a tuż za nim ośnieżone szczyty gór.

– Wasz świat naprawdę jest taki kolorowy? – spytał niedyskretnie, patrząc na kolejne opakowanie.

– Owszem – odparła. – U nas wszędzie jest tęczowo i kolorowo. Czasem aż do przesady. No ale dzieciom powinno się spodobać.

– Też tak myślę – przyznał. – Znaczący, że dziewczynkom się spodoba. Wezmę ten – wybrał kryształowy pałac – i ten – w drugą rękę wziął pałac Canterlot. – Mógłbym jeszcze do tego dwie antyramy poprosić?

– Świetny pomysł! Szkoda, że u nas tego wcześniej nie było. Musiałam każdy kawałek naklejać osobno na przyciętą deskę. A tak to ładnie, za szkłem.

– Z pleksi poproszę. Nie potłucze się.

– Oczywiście. Słuszna uwaga – przyznała, prowadząc go do półeczki z antyramami. Wybrali dwie identyczne o odpowiednim rozmiarze i udali się do kasy. Klacz, nad wyraz sprawnie posługując się kasą, podliczyła cenę całego zestawu.

– Zapakować? – spytała. – Z okazji świąt, pakowanie w ozdobny papier, w cenie.

– Poproszę w dwie osobne paczki – poprosił.

Klacz położyła jedną antyramę i jedno puzzle na kolorowym papierze, po czym zaczęła próbować zrobić z tego paczkę. W sumie jak na kogoś bez palców to umiała złapać nożyczki, ale podniesienie kawałka papieru było już niezwykle skomplikowane.

– Może pomogę, mam palce? – spytał, poruszając bardzo drażliwy temat. Rozmowa między kucem a człowiekiem o palcach uchodziła za wyjątkowy nietakt i obrazę. Nie ważne, kto zaczynał.

– Jeśli można – zgodziła się, dopuszczając Stefana do narzędzi. – Nie powiem, chciałabym mieć palce zamiast kopyt, ale urodziłam się kucem ziemskim i mam za to końskie zdrowie – zażartowała, nie przejmując się paskudnym tematem.

– A gdybyś mogła, wypiłabyś eliksir humanifikacyjny? – spytał wprost.

– Nie – odparła. – Gdybym miała być człowiekiem, urodziłabym się człowiekiem.

– Prawda – przyznał, zawiązując ostatnią kokardę. – Jedyne skrzydła jakie mogę dostać to te od Boga, razem ze złotą fajerką nad głową. No gotowe.

– Dziękuję – odparła. – Mnie by to pewnie zajęło pięć razy dłużej.

– Nie ma za co – odparł, płacąc. Następnie pożegnał się, życząc jej wesołych świąt i z dwiema wielkimi siatami udał się na przystanek. Za pół godziny dojedzie do domu brata, gdzie spotka się z całą jego rodziną, w tym z dwoma kipiącymi energią, pięcioletnimi potworkami.

Franek mógł się wreszcie odprężyć i wyciągnąć nogi. Pozbawiony karku mężczyzna wyniósł swoją księżniczkę różowości, zwalniając miejsce, na które nikt na szczęście się nie dosiadł. Starsza pani wciąż czytała swoją gazetę, a przedstawiciel przedsiębiorczego narodu zajęty był swoją. Właśnie miał przewrócić stronę, gdy zadzwonił telefon.

– Halo? – powiedział do słuchawki. – Rapaport? Tu Goldberg. Miło cię słyszeć. Jak interesy? A słyszałem, słyszałem o tym przetargu. Nie martw się, nie unieważnią. Lutman jest przecież właścicielem firmy, która ma transportować Pendolino twojego kuzyna do nas, a on nie popuści. Co z tego, że Pesa tańsza? Nasze śmigłowce też były tańsze i lepsze, a Maliniak sprzedał naszym te francuskie za podwójną cenę. Co, czemu się cieszysz? Firma żony pośredniczyła. No ale powiedz, po co dzwonisz? Aha, interes. Chcesz wiedzieć, kto ma Wechsel Rydberga? Zaraz ci sprawdzę. – Żyd sięgnął ręką do niewielkiej torby i wyciągnął z niej małego laptopa. Włączył jednym pstryknięciem i już po chwili zaczął śmigać po touchpadzie. – Już mam. Wechsel Rydberga ma Zeiss, który z kolei

zadłużony jest u Glasa. A przynajmniej jeszcze wczoraj był. Tak, tak, moje informacje są dobre, zresztą wiesz. A skoro już dzwonisz, twój teść nadal zajmuje się przetargami dla MON-u? No to super, mógłbyś mnie z nim umówić? Silbermann pytał, czy miałbym dla jego fabryki kontrakt na Leopardy w Europie. Skorzystałbym na pośrednictwie. Aha, aha, będę, przyniosę mu irlandzką, prosto z Irlandii. No to powodzenia w interesie i nie zapomnij o mnie.

Biznesmen się rozłączył, schował laptopa, telefon i spojrzał na zegarek. Jak na komendę z kolejowego głośnika poleciała kanonada trzasków i skrzeków, której nawet rodowity Klingończyk by nie zrozumiał.

Po chwili w przedziale został tylko Franek, który z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu i starowinka, robiąca w powietrzu znak krzyża i mamrocząca: *apage satanas*.

Polski bus nie należał do najwygodniejszych środków transportu. Czterogodzinna przejażdżka do Warszawy dała się Krzyskowi we znaki, powodując całkowite zesztywnienie. Tylko młody wiek pozwolił mu szybko rozruszać zastałe kończyny i wydobyć się z niewielkiej przestrzeni. Pomógł jeszcze klaczy zdjąć torbę z góry, po czym wytoczył się z busa i odebrał starą, umazaną smarami torbę Lotosu.

Krzysiek zaczął rozglądać się wokół, szukając swego nielubianego kuzyna, jednocześnie zastanawiając się, co tym razem odwalił. Widywali się tylko raz w roku, właśnie na rodzinnej Wigilii i co roku jego wspaniały kuzyn coś wymyślał. Rok temu zrobił sobie czarnego, nażelowanego irokeza, bo zaczynał hobbystyczną karierę metalową. Dwa lata temu miał fioła na punkcie zdrowego odżywiania i na wigilijną kolację przygotował dwanaście różnych sałatek. Aż strach pomyśleć, co w tym roku odwali.

– Krzysiek! – wołanie wyrwało go z rozmyślań. Odruchowo odwrócił się w tamtą stronę, lecz poza jednym kucem, nie było tam nikogo. – To ja, Staszek! – zawołał ogier, ruszając w jego stronę.

Szczęka młodego FOŁowca opadła na ulicę. Jego tępy kuzyn dał się skonwertować. Pół biedy, że go nie lubił, ale to i tak był szok. Ciekawe, co na to matka?

– Coś ty znów wymyślił, Staszek? – spytał zrezygnowany.

– Poznałem cudowną Equestriankę i dałem się dla niej skonwertować – zaczął z entuzjazmem.
– Od ośmiu miesięcy jesteśmy zaręczeni, a w maju planujemy się pobrać i zamieszkać u niej.

– A co na to matka? – spytał idąc za pegazem w kierunku parkingu.

– Jest na nie, ale nie martw się, przekonam ją.

Krzysiek już chciał coś powiedzieć, ale wtedy doszli do samochodu. Staszek otworzył drzwi kierowcy i zaczął pakować się na siedzenie.

– Prowadzisz? – spytał zaskoczony. – Z tym ciałem?

– Oj tam, jakoś idzie, jak wolno jadę.

– To ja idę piechotą – odparł, ruszając w stronę przystanku.

- Nie przesadzaj, przecież mam prawo jazdy od dziesięciu lat.
- Może nie zauważyłeś, ale jesteś cholernym koniem i masz pieprzone kopyta zamiast rąk i nóg.
- Dobra, dobra zrozumiałem – westchnął, ustępując mu miejsca i oddając kluczyki. – Możesz poprowadzić, tylko nie zepsuj.

Krzysiek wsiadł do zeszłorocznego modelu opła i uruchomił silnik. Jego wprawne ucho wyłapało stukające zawory, ale nie powiedział tego bratu. Pewnie i tak o tym wiedział. Zamiast tego postanowił się skupić na jeździe ulicami zatłoczonej Warszawy.

– Paszport – poprosił celnik przy jednej z bramek portalu. Budynek kryjący przejście do Equestrii był pełen kuców wracających na święta do domu. Tłok pewnie byłby mniejszy, gdyby nie to, że był to jedyny dostępny w tym mieście portal. Pozostałe dwa wysadził FOL, a nowe dziwnym trafem nie chciały się pojawiać. Może wreszcie coś zaczęło się dziać i będzie szansa, by zablokować napływ tych cholernych konwertytów.

Kłapouch podał mu dokument, obserwując uważnie cały budynek. Co prawda zanim wezmą się za wysadzanie, dane mogą się zdezaktualizować, ale warto być gotowym na każdą ewentualność.

– Ma pan coś do oclenia? – spytał.

– Nie – odparł spokojnie jednorożec.

– Jakiś alkohol? – kontynuował standardowe przesłuchanie, jakie czekało każdego kuca legalnie przekraczającego granice.

– Czteropak regionalnego piwa na prezent dla kuzyna i to wszystko – odparł bez mrugnięcia powieką. Liczył, że przy takim tłoku nie będą mu trzepać juków. Gdyby jednak do tego doszło, miałby problemy z powodu przemytu zakazanego w Equestrii alkoholu o mocy większej niż piętnaście procent.

– No to życzę wesołych świąt – odparł celnik, wskazując mu biały korytarz prowadzący do portalu na drugą stronę. Ogier ruszył w tamtą stronę, by po chwili dojść do magicznego owalu, który przeniósł go w okolice Dodge Junction.

Ach kochana, obsypana śniegiem Equestria. Malowniczy, kolorowy kraj, który jakaś biała rura chce rozwalić, ściągając tu bandę przemienionych nierobów i dając im taki socjał, o jakim prawdziwy kuc może tylko marzyć. I w imię czego? Ekspansji ekonomicznej do świata, który wcale nie był tak atrakcyjny, jakby się mógł wydawać? A przynajmniej nie byłby bez ludzi.

W tej sytuacji Kłapouchowi pozostało tylko jedno. Kupić bilet do Vanhoover i przed piętnastą być w swoim rodzinnym domu. Przynajmniej w teorii. Tak naprawdę na przeszkodzie przed rodzinnym obiadem stała jedna sprawa. Pierw musiałby pogodzić się z rodzicami i wybaczyć im, że dali mu najgłupsze imię w całej Equestrii i spieszyli dzieciństwo.

Nie umiał im wybaczyć. Mimo świąt i długiej rozłąki, nie umiał. Jeszcze nie dziś. Dlatego, zamiast kupić bilet do Vanhooveru, postanowił ruszyć do jedyne go przyjaciela, jakiego miał w Equestrii.

– Normalny do Canterlotu – powiedział, gdy nadeszła jego kolej.

– Dwadzieścia bitów – powiedziała kasjerka, żując gumę. Ogier dał jej odliczoną ilość monet. Jeszcze po drugiej stronie wymienił trochę gotówki na brzęczącą monetę, by spokojnie poruszać się po swoim świecie. – Pociąg odjeżdża za dziesięć minut – poinformowała go, podając kawałek papieru z krzywo wydrukowanym biletem. Jednorożec schował go do kieszeni kurtki i udał się w kierunku jedyne go peronu w tej dziurze.

– Witaj Stefan – powitał go w progu brat. – Jesteś w samą porę, wszyscy już siedzą przy stole.

– Cześć, Kamil – przywitał go, po czym podał mu dwie wielkie siaty, mówiąc: – To dla twoich małych, może przez chwilę posiedzą w ciszy. Dla was z resztą też coś mam. – podał mu podłużną torbę. – Jedyne go powód, dla którego Francuzi byłiby w stanie walczyć w czterdziestym.

– Przecież Edit Piaf się tam nie zmieści – odparł Kamil, zaglądając do środka. Nie mógł jednak dojrzeć zawartości, bo ta była dokładnie zabezpieczona przed wzrokiem postronnych.

– No dobra, drugi powód – przyznał, zdejmując buty. Teraz mógł odetchnąć, gdy w końcu rozstał się z butelką wartą więcej niż jego półroczna pensja. Zwłaszcza, że butelka była kradziona. Zwinął ją w czasie halloweenowej akcji, jak czekali na transport. Ciekawe, że zwykłego dyrektora było stać na stuletnie wino.

Po chwili Stefan wszedł do duzego pokoju. W drzwiach uściskał jeszcze Natalię, żonę Kamila, po czym zasiadł przy stole by pogadać razem z resztą rodziny. Od razu zaczęły się pytania o pracę, dziewczynę i tego typu pierdoły. Wszystkie stare babcie gadały o chorobach, pokolenie walczące z komunizmem zajęło się polityką, a dziewczynki Kamila męczyły dwóch synów brata jego żony i próbowały się dostać do prezentów. Najbiedniejsza była Kamila, która biegała między kuchnią a pokojem, nosząc jedzenie i pilnując by nic się nie przypaliło. Tak to jest jak się rodzinę zaprasza na święta.

Kwadrans później na stole spoczęła wielka waza parującego barszczu. Był to znak, że nadeszła pora rodzinnego obiadu. Za chwilę wszyscy połamią się opłatkiem, po czym w milczeniu zjedzą obiad, by następnie nastąpił moment wyczekiwany nie tylko przez dzieci. Prezenty. Oczywiście Stefan nie liczył na coś specjalnego. Po prostu chciał zobaczyć miny swoich bratanic gdy otworzą paczki z puzzlami. A jeszcze bardziej czekał na minę Kamila gdy wyciągnie pudełko po niemieckim celowniku, a w środku będzie buteleczka, która przetrwała Hitlera, Stalina i Jaruzelskiego.

– Krzysiek, przypilnuj barszczu, bo muszę kluski przygotować. – zagoniła go do roboty matka. – A ty Staszek idź do sklepu po kilo mąki bo mało jest i kup przy okazji jakieś wino do podlania bigosu. Byle czerwone i półwytrawne.

Krzysiek stanął przy garnku, wciskając się między matkę przygotowującą lane kluski, a ciotkę, siekającą sałatkę. Nie wiedział po co ma mieszać, skoro obie panie świetnie sobie radziły. Prawda jednak szybko wyszła na jaw, wraz trzaśnięciem drzwi. Zwyczajnie musiały sobie pomagać i potrzebowały kogoś, kto zabierze im nieco obowiązków.

– Nie rozumiem Fela. – zaczęła jego matka. – Ty jesteś normalna, Kazik też, a mimo to macie syna debila.

– Wiesz, że miłość jest ślepa. – odparła dyplomatycznie, choć sama też nie popierała decyzji syna.

– Ale żeby jakiś kolorowy koń?

– Oj nie bądź rasistką Helena. – westchnęła. – Ona jest naprawdę miła.

– Może i masz rację. – Wciąż nie była przekonana. – Oby tylko to było na dłużej niż ta moda na sałatki.

– Oby. Zgodziła się Felka.

– Krzysiek, idź nakrywać stół, a nie się tu kręcisz. Ta pegazica sama sobie nie poradzi.

– Dobra. – odparł idąc do stołowego, gdzie bladeżółta klacz pegaza usiłowała latać w ciasnym pokoju i stawiać na stole porcelanę babci. Miała szczęście, że nie wiedziała co ją czeka jak stłucze chociażby najmniejszy spodeczek do herbaty.

Kłapouch stał przed niewielkim domem niedaleko uniwersytetu w Canterlocie. Mieszkał tu jego przyjaciel ze studiów wraz z małżonką. Oby tylko był w domu.

Ogier zapukał do drzwi. Ze środka dało się słyszeć krzątanie i jakieś głosy. Znaczący, że gospodarz jednak był u siebie. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich ciemnofioletowy jednoróżec w wieku kłapoucha. Spojrzał na gościa i na jego pysku odmalowało się nieliczne zaskoczenie.

– Star? Star... – w tym momencie kłapouch przytknął mu kopyto do pyska i spojrzał groźnie w oczy.

– Nie kończ Glass. – poprosił.

– Nie wierzę, że to ty. – dokończył. Wiedział, że nienawidzi swojego pełnego imienia i znosi co najwyżej jego skrótową wersję, ale w takiej chwili mało się nie zapomniał. – Co cię tu przywiał?

– A o niezapowiedzianym gościu słyszałeś? – spytał, uśmiechając się złośliwie. – To jestem bez zapowiedzi.

– Dobra, włącz i opowiadaj co tam u ciebie słychać. – zaprosił go do środka. – Violet, wyjdź na chwilę z kuchni i zobacz kto przyszedł.

– Star? Co ty tu robisz? – spytała ciemnogrnatowa klacz ziemska, wchodząc do korytarza.

– A przyjechałem odwiedzić przyjaciela w święta. – odparł ściągając kurtkę. – Ale żeby nie było, nie przychodzę z pustymi kopytami. – zanurkował do juków skąd wyciągnął jedną torbę prezentową i jeden wełniany, ręcznie robiony szalik. – Dla ciebie mam coś dla ciała – podał jej szalik – a dla twojego męża, coś dla ducha. – wręczył mu torbę. Ogier zaprowadził gościa do stołowego, gdzie zajęli miejsca i gospodarz wziął się za rozpakowanie.

– Co to jest? – spytał wyciągając z torby półlitrową butelkę.

– Stroh. – odparł jakby to było coś oczywistego. – Osiemdziesięcioprocentowy Rum.

– Przecież to nielegalne.

– Nielegalna to jest krytyka władzy w tym kraju. – odparł Star. – To jest tylko nieco wzmocniony rozweselacz.

– Rzeczywiście, nieco. – przyznał sarkastycznie. – No to teraz opowiadaj, co tam słychać u ciebie. – poprosił.

W tym momencie jego żona chrząknęła. Glass rozejrzał się wokół i zobaczył, że stół jest już nakryty, a wigilijna kolacja paruje. Musieli więc odłożyć swoją rozmowę na później i przejść do składania świątecznych życzeń. Gdy zaś rytuałowi stało się zadość, można było zająć się skonsumowaniem pyszności przygotowanych przez Violet. A trzeba przyznać, że wspaniale gotowała. Z resztą był to jeden z powodów, dla którego się z nią ożenił.

– Violet, przeszłaś samą siebie. – pochwalił Star, nakładając sobie ciasta. – Kolacja była wprost fenomenalna. Powinnaś zostać zawodową kucharką.

– Jestem. – odparła. – Zaraz po studiach dostałam robotę w jednej z lepszych, canterlockich restauracji. A co u ciebie? Masz tam jakieś zajęcie na ziemi?

– Pracuję w księgarni.

– Trochę niskie loty jak na ciebie. – wtrącił Glass. – Chcesz, to ci załatwię pracę na uniwerku.

– Wiesz, że przy moich poglądach wylecę stamtąd zanim się obejrzysz.

– A racja, twoje poglądy. – przyznał. – Prawie o nich zapomniałem. No ale przestaję ci się dziwić.

– Poważnie? – spytał zaszokowany Star. Jeszcze rok temu jego najlepszy przyjaciel nie miał żadnych problemów z konwertytami. Traktował ich na równi z innymi kucami, choć często przyznawał, że muszą mimo wszystko więcej nad sobą pracować, a szybko przestaną się wyróżniać. Nawet po tamtej paskudnej sytuacji, po której Star rzucił wszystko w cholerę i wyjechał. Ale coś widać sprawiło, że zmienił zdanie.

– Ano, zaczynam cię rozumieć. – westchnął, sięgając magią po kieliszki. Mimo, że w Equestrii napoje wysokoprocentowe były w większości zakazane, a te dostępne, nie przekraczające piętnastu procent, mało popularne, to sporo kucyków miało w domu kieliszki.

Odkręcił otrzymaną w prezencie butelkę i nalał do trzech. Następnie podał jeden gościowi, a drugi żonie.

– Co się stało? – spytał Star, wlewając od razu cały kieliszek do gardła. Gospodarz poszedł za jego przykładem i to był błąd. Przy pierwszym zetknięciu z przelykiem alkohol wypalił mu gardło, a jego moc wycisnęła powietrze z płuc. Zaczął się krztusić i Violetta musiała mu kilka razy przyłożyć w grzbiet żeby się nie udusił.

– Mocne. – przyznał, wciąż się krztusząc. – Jak ty możesz to pić jak wodę?

– Mieszkam na ziemi. Tam to mocniejsze piją. – odparł, uśmiechając się do niego. – Opowiadaj, co tam u was na uniwerku wymyślili. – zmienił temat dolewając im do pełna.

– Dobra, tylko to jest tajne, łamane, przez nie słyszałeś. – ostrzegł. – No może nie wszystko. Prawdą jednak jest, że zrobili nam na każdym kierunku grupy złożone z konwertytów. Niby nic niezwykłego, przecież mogą studiować. Tyle, że z góry przyszły nowe wytyczne odnośnie tych grup. Mam im nieco zaniżyć poziom, bo oni się dopiero uczą i są chłonni wiedzy. A tym by się mogło skończyć, gdyby nie fakt, że ci konwertyci to najgorsze grupy z jakimi miałem do czynienia na studiach. Już nawet za naszych czasów było lepiej. – wspomniał. – A ci notorycznie olewają wszystko co się mówi i potrafią tylko żądać. Bo im się należy.

– I ty na to pozwalasz? – zdziwił się Star. – Wywal ich za drzwi i się skończy.

– Nie mogę. Zarządzenie odgórne. Mam być dla nich miły i im pomóc, bo oni mogą mieć jeszcze problemy z odnalezieniem się w naszym świecie.

– No ja pierdolę! – zaklął głośno.

– Star, nie przy stole. – upomniała go Violetta. – Z resztą wigilia jest.

– Przepraszam Violetta, ale inaczej nie mogę. – odparł nieco skruszony. – Przecież to uniwersytet a nie szkołka niedzielna.

– Widać już nie długo. – westchnął zasmucony wykładowca. – Co gorsza nic z tym nie idzie zrobić, bo nawet góra ma związane kopyta. A przez to my też.

– Nie martw się, na pewno jest jakieś wyjście. – próbował go pocieszyć. – Ziemia to może i beznadziejny świat, ale nauczyła mnie jednej rzeczy. Mianowicie zawsze jest jakiś sposób. A co na to studenci?

– Narzekają, że poziom niski i oni by chcieli się czegoś dowiedzieć więcej. Nawet zasypują mnie pytaniami, ale muszę ich odsyłać do książek, bo nie mam czasu tłumaczyć rzeczy zaawansowanych, jednocześnie wbijając konwertytom podstawy do głów.

– Narzekają powiadasz. – powiedział Star uśmiechając się cwaniacko. – To bardzo dobrze.

– Nawet o tym nie myśl. – powiedział z groźbą w głosie. – Nie chcę stracić pracy.

– Ale o czym? – próbował zgrywać niewiniątko.

– O tym by szepnąć kilka słówek studentom i wywołać rozruchy w kampusie. – dołał mu do pustego już kieliszka.

– Zapomniałem, że gadam ze specjalistą od telepatii. – westchnął. – Dobra, obiecuję, że nic im nie powiem.

– Kamieni obwiązanych listami to też dotyczy. – powiedział Glass, upijając łyk rumu. – Equestriańskiej poczty również.

– Ej no weź. To nie jest śmieszne.

– Jest. – wtrąciła Violetta, która dotychczas przysłuchiwała się całej rozmowie.

– Dobra, obiecuję nie informować studentów o tym cyrku. – powiedział, kładąc teatralnie kopyto na sercu.

– I nie spróbujesz przebrać się za studenta i osobiście wywołać zamieszek. – dodał Glass.

– Kurwa. – mruknął ogier opróżniając kieliszek jednym łykiem.

W pokoju było ciemno, nie licząc jednego kąta gdzie, w rogu, stało biurko, a na nim jaśniejący monitor. Przed nim siedział młody, około trzydziestoletni mężczyzna i mierzył się z wirtualnym gryfem, który napadł wioskę Białe sady. Właśnie miał zadać finałowy cios gdy odezwał się dzwonek Skype.

– Kurwa mać! – warknął do pustego pokoju, po czym spojrzał kto dzwoni i na jego twarzy zagościł uśmiech. Dzwonili jego najlepsi, a raczej jedyni przyjaciele. Odebrał, wracając do Wiedźmina. Nawet świąteczna wideokonferencja nie oderwie go od wojny królestw północy z Nilfgaardem.

– Siemacie chłopaki, jak święta? – powitał ich.

– No siemasz Jurek, – odparli prawie równolegle.

– A u mnie spoko. – odparł Stefan. – Bratanice jak zwykle w formie, rodzina też w porządku. Po prostu wspaniałe święta.

– No chociaż ktoś miał wspaniałe. – westchnął Krzysiek. – Mój genialny kuzyn dał się skucykować z miłości.

– Nie gadaj.

– Ano niestety.

– Nie martw się, coś się na niego wymyśli. – pocieszył Franek. – Może go ogolimy, napiszemy na boku że biała rura ssie i przerzucimy przez portal na placu zbawiciela. – wszyscy zarechotali.

– Ty mi nie mów nic o konwertytach. – westchnął kłapouch. – Mam w Equestrii przyjaciela, który wykłada na dawniej najlepszym uniwerku, opowiadał że zrobili mu całą grupę konwertytów.

Podobno są tak beznadziejni, że powinni wylecieć po pierwszym dniu. Niestety nic nie idzie zrobić, bo góra zabrania.

– Wasz naród to jednak idioci. – przyznał Jurek. – U nas już by dawno studenciaki pobili nierobów. Zwłaszcza, że mają przewagę liczebną.

– Tylko żeby oni na to wpadli. Widziałeś kiedyś żeby któryś z tych pastelowców podniósł kopyto na władzę, albo chociaż powiedział coś złego na te białą rurę? A konwertyci tym bardziej. Jakby mogli to by nawet kopyta jej lizali.

– No to może trzeba im pokazać. – zasugerował Krzysiek.

– Spokojnie, mam plan. – wtrącił ogier. – Tylko muszę go jeszcze dopracować.

W tym momencie Stefan chwycił za kartkę i ołówek, po czym zaczął szkicować jednorożca w garniturze w prążki, meloniku i z cygarem w pysku.

– Dobra, po świętach nam opowiesz. – powiedział Franek. – A ty Juras, jak słyszę święta masz w porządku.

– Poza tym, że Yennefer wygląda beznadziejnie i pracuje dla Nilfgaardu, to wszyscy zdrowi.

– Założę się o piwo, że jednym słowem sprawię byś przestał narzekać na Wieśka. – zaproponował Krzysiek.

– Wchodzę.

– No to słuchaj. – zrobił teatralną pauzę. – Ubisoft.

– Eeeee, ale, ale... Dobra wygrałeś.

– Chyba nie rozumiem. – przyznał się kłapouch.

– Dobra, opowiem ci anegdotę. – zaproponował Jurek. – Jak nie zrozumiesz, to ci po świętach wytłumaczę. Otóż, wiesz dlaczego EA Games dostało nagrodę najgorszego producenta gier wideo w USA? Bo Ubisoft jest z Europy. – głośniki wypełniły wybuchy śmiechu.

Po chwili rozmowa zeszła na bardziej przyziemne tematy. Omijając oczywiście kwestie działalności wywrotowej. W końcu nie wiadomo kto gdzie i kiedy podsłuchuje wszystkie rozmowy internetowe. Po godzinie zaczęli się rozchodzić by spędzić te święta z bliskimi. Siebie mieli przecież na co dzień.

Celestia siedziała na tronie i czytała nową książkę, którą dostała na święta od Twilight, racząc się przy tym gorącą herbatką. Obok niej siedziała Luna, rozpracowując zawzięcie jedną z dziesięciu misternie wykonanych, drewnianych łamigłówek.

Rozległ się odgłos tłuczonego szkła i ciężki, twardy pocisk uderzył Celestię w głowę. Upuszczona filiżanka roztrzaskała się na posadzce, zalewając ją herbatą.

Dwaj stojący przy drzwiach strażnicy wpadli do środka jak burza, gotowi bronić majestatu księżniczek i ujrzeni wielką dziurę w witrażu, płamę na podłodze, Celestię trzymającą się za głowę i

chichoczącą Lunę. Nie dane im jednak było nic zrobić gdy drugi pocisk zmasakrował i tak już uszkodzone okno, po czym trafił panią nocy w bok głowy, zrzucając ją z tronu.

Kolejny pocisk rozbił witraż w drobny mak i wylądował u kopyt jednego ze strażników, nie czyniąc nikomu krzywdy. Ogier podniósł go i obejrzał uważnie. Był to najzwyklejszy kamień owinięty kartką papieru. Pozostałe dwa pociski były identyczne.

Strażnik rozwinął papier z kamienia, który trafił Celestię i po chwili oddał kartkę swojej władczyni. Było tam tylko jedno zdanie, skierowane wprost do niej:

Wesołych świąt Biała Ruro. I szczęśliwego nowego roku.

Kolejna kartka trafiła w kopyta Luny, która zdążyła już podnieść się z podłogi i teraz kryła się za oparciem, w oczekiwaniu dalszego ostrzału. Księżniczka rozpostarła ją magią i również ujrzała jedno zdanie:

Tobie i twojemu misiu również życzę wesołych świąt.

Trzecia kartka również zawierała tylko jedno zdanie:

ps. Przepraszam za okno.

Obie księżniczki spojrzały na zdewastowany witraż i westchnęły. Niby fajnie dostać życzenia, ale nie zrekompensują one siniaka, stłuczonego witraża w pałacu, ani faktu, że FOL dotarł nawet tutaj. No bo kto inny ośmieliłby się nazwać Celestię białą rurą?

Księżniczki nie wydały jednak rozkazu ścigania wandalą. Ten i tak zdążył dawno zniknąć w tłumie. Poza tym, księżniczki nie mogły wiedzieć, że rzeczony wandal wsiadał w tej chwili do pociągu zmierzającego do Dodge Junction by za godzinę przejść przez portal i już jutro opowiedzieć o wszystkim ziomkom z FOLu.

Jedynego czego kłapouch żałował w tej chwili, to tego, że nie mógł zobaczyć min księżniczek. Pewnie by się zdziwił, że mimo wszystko się uśmiechają. W końcu niecodziennie dostaje się świąteczne życzenia od wroga.